Wiecie dobrze, co to za miejsce, ale…..poczytajcie

Półwysep jest unikalny, a ta miejscowość szczególnie. Ilekroć tu jestem, przeżywam coś

trudnego do opisania. Wąski pas ziemi wdziera się w morze, symulując zatokę. Czy ten mały

paseczek lądu można uznać za trwałą ziemską przegrodę? Na pewno nie. Większy sztorm

potrafi przelać się przez półwysep – zatoka przestaje wtedy istnieć. Czym więc jest? Prawdą

czy iluzją?

Pobyt tutaj dla entuzjasty morza jest świętem. To nobilitacja mieszczucha do rangi rybaka,

korsarza, pirata, a przynajmniej morskiego majtka, który odczuwa tu bezmiar otaczającej

go wody. To powrót do siebie, do swoich dawnych przeżyć i uniesień. To oglądanie świata

oczami chłopca, w najostrzejszych barwach młodości i patrzenie na znane miejsca po raz

pierwszy. To odkrywanie wszystkiego na nowo i zauroczenie niepowtarzalnym urokiem,

także pięknem tego, co powstało niedawno.

Zapytany, czym jest dla mnie to miejsce na półwyspie, odpowiem bez wahania,

że wspaniałym doświadczeniem na drodze poznawania piękna. To zapach ciała Ewy,

blondynki z rozwianymi włosami, o twarzy osmaganej wiatrem i słońcem. To księżycowa noc

dwóch istot, które na plaży, w wiklinowym koszu, znalazły bezpieczne schronienie

i bez końca zgłębiają smak pierwszych pocałunków. To drżenie splecionych rąk i ciepło

przytulonych głów, tak miłe w narastającym chłodzie nadchodzącego poranka. To dotyk

pierwszego poznania w powiewach wiatru niosącego wszechobecny, złoty pył. To kołysanka

śpiewana przez morskie fale, przetaczające się miarowo po piasku. To szmer wody wśród

kamieni wyrzuconych na brzeg.

To ostry snop światła latarni morskiej, cyklicznie i nieubłaganie omiatający nocą plażę,

kosz i tę zakochaną parę tulącą się do siebie, tak bardzo pragnącą intymności. Intymności,

której nieuchronne przemijanie położy wkrótce kres. Oboje nie mogą o tym wiedzieć,

więc cieszą się namiętnym uniesieniem. Jeśli mają w sobie pokłady wrażliwości i poczucie

wewnętrznej harmonii, to rozstanie nie zniszczy uroku tych wspaniałych chwil.

Cóż, za jedno z nich mogę ręczyć. Co do Ewy – wciąż nie mam możliwości, by ją

o to zapytać.

To miejsce, to wspomnienie dni, gdy nieprzenikniona mgła spowija półwysep. Jest

wszędzie i pożera wszystko. Płynąc nie umie odróżnić wody od lądu,

zabudowań

od samochodów, statków od łodzi. Niewidoczne postacie toną w gęstym mleku, zlewają się

z drzewami, zarysami domostw. Ulice znikają, a martwe lampy stają się wyłącznie

przeszkodami, z którymi łatwo się zderzyć.

To słyszane na przemian, przejmujące, donośne buczki i przeciągłe syreny, które usiłują

przebić mgłę, by wskazać wejście do portu kutrom i łodziom rybackim, zagubionym gdzieś

w bezkresnej, wodnej przestrzeni. To niewyobrażalna gęsta biel, która zabija wszelką

aktywność. Trzeba samemu tego doświadczyć, by zrozumieć, jak bezradny jest marynarz

wobec cichego żywiołu.

To nagła zmiana, gdy jak za dotknięciem niewidzialnej różdżki znikają białe miraże

i znów świeci nienaturalnie jaskrawe słońce. I widać wszystko hen, po sam horyzont,

przy niemal bezchmurnym niebie. Jeśli wcześniej wydarzyła się jakaś tragedia, nie jesteśmy

w stanie w nią uwierzyć, patrząc na radosną przyrodę. Ta metamorfoza poraża swoją skalą.

Znów jasny, żółty piasek plaży rozpościera się na dużej przestrzeni od pasa wydmy

ku morzu. Wydmę porasta piękny zwarty sosnowy las, częściowo mieszany, z

dodatkiem

drzew liściastych, paproci i krzewów. Zapach szyszek i igliwia miesza się z zapachem

morskich wodorostów.

Nieodgadniona aura półwyspu wtapia nas w przyrodę, pozwala głęboko oddychać

morskim powietrzem, dogłębnie przenikając wilgocią nasze ubrania i ciała. To konstatacja,

że pobyt tu przypomina odwracanie kart w ulubionym albumie, którego każda fotografia

przywraca w pamięci wspomnienia – zdarzenia, sytuacje i ludzi, o których nie możemy

zapomnieć.

To spostrzeżenie, że jestem w miejscu nadmorskiego wypoczynku naszych rodaków

w okresie międzywojennym, także mojego ojca. Jako dziecko przyglądał się, gdy z portu

po stronie zatoki rybacy wyruszali na połów. Czasem łowiono z niewielkich łodzi od strony

otwartego morza. Sieci, wyciągnięte z morskiej toni, rozpostarte na drągach i dziś rozsiewają

zapach ryb, zielonych glonów i ciemnobrązowych wodorostów.

To miejsce odnowy wiary katolickiej, bo gdy pogoda jest zmienna i kapryśna, a mężczyźni

łowią, ich kobiety modlą się gorąco. Tylko wiara w Boga pozwala człowiekowi przetrwać

i funkcjonować. Gdy niespodziewany żywioł niszczy wszystko – skąd ma oczekiwać

pomocy?

Z wysokiej wieży kościoła Najświętszej Marii Panny, zbudowanego z ciemnoczerwonej

cegły jeszcze przed drugą wojną, rozlega się dźwięk dzwonu, docierając do serc i umysłów.

Z ambony w kształcie łodzi, stale zalewanej przez wzburzone, spienione fale, płyną słowa

otuchy i wiary w Najwyższego. On wskaże zagubionym na morzu drogę do domu,

a ich rodziny natchnie wiarą, nadzieją i miłością.

Twardzi ludzie tu mieszkają, rośli mężczyźni i zahartowane, pracowite kobiety.

Solidarność nie jest tu pustym słowem, a czymś naturalnym i powszechnym. Bywać wśród

nich i mieć przyjaciół to prawdziwy honor. Mimo upływu lat zachowują swój język, bardzo

odrębny i różniący się od języka sąsiadów. Kaszëbë – to słowo ma swoją magiczną moc.

Teraz odżywa z wielką siłą, tak jak ludzie, którzy nie dali się wynarodowić. Konkel, Selin,

Kohnke, Budda i wiele innych rodzin żyje tu od setek lat. Wśród nich bladolica Gabrysia

o włosach białych jak len, wnuczka babci Miller, z mężem Stefanem Buddą i dziećmi,

mieszkańcy domu przy ulicy Księdza Sychty.

To miejsce, to także przejeżdżający pociąg, donośnie i ostrzegawczo gwiżdżący

przed każdym przejściem wiodącym przez tory na plażę. To głośny stukot kół i migające

tuż za oknem wagonu rosnące na wydmach drzewa, pomiędzy którymi – od czasu do czasu

– pojawia się lazurowe morze.

To także nagroda od przyrody dla zbieraczy i miłośników sztormowej pogody – kawałki

bursztynu wyrzucone na brzeg i gratis zwiększona, naturalna dawka jodu

– nie do przecenienia.

To widok od strony zatoki, gdzie woda jest cieplejsza. Plenią się w niej nadmiernie glony

i wodorosty, których widok utrwaliłem na filmie kręconym z helikoptera Bell. To maleńkie

kino „Żeglarz”, kapitanat i stary port rybacki, nasycony przenikliwą wonią ryb, sieci

rozwieszonych na wietrze, zapachem spalin z diesli, krzykiem mew. Można stąd rozpocząć

podróż w daleki świat.

To nurkowanie z wielozębnym harpunem, obok latarenki stojącej przy wejściu do portu,

by z niecnym triumfem wydostać tłuste, wijące się cielska czarnych węgorzy. To także

nowoczesny hotel, powstały na wydmach w miejscu kultowego, przedwojennego Domu

Zdrojowego i boski smak dorsza z wieczornego połowu, ze słynnej kuchni

Wawrzyniaka. Z

pewnością znacie to miejsce i kochacie je nie mniej ode mnie.

Copyright©wojciech.wilczynski